

1

Powiadają, że w dawnych Chinach, za czasów północnej dynastii Song pewien książę kazał uprawiać co roku rabatę tysiąca piwonii, których kwiaty z nastaniem lata kołysały się na wietrze. Przez sześć dni książę przesiadywał na podłodze drewnianej altany, z której miał zwyczaj podziwiać księżyc, od czasu do czasu wypijał filiżankę jasnej herbaty i obserwował te, które zwał swoimi córkami. O świcie i o zmierzchu przemierzał rabatę.

Z początkiem siódmego dnia zarządził rzeź.

Słudzy kładli na ziemię piękne ofiary o złamanych łodygach i główkach wyciągniętych na wschód, aż na polu zostawała jedna jedyna piwonia otwierająca płatki na pierwsze monsunowe deszcze. Przez pięć kolejnych dni książę trwał przy niej, pijąc ciemne wino. Całe jego życie sprowadzało się do tych dwunastu okrążeń słońca; przez cały rok tylko o nich myślał; gdy mijały, pragnął umrzeć. Jednak godziny poświęcane na wyznaczenie tej wybranej, a następnie na rozkoszowanie się jej milczącym towarzystwem, potrafiły pomieścić tak wiele istnień w jednym, że książę nie postrzegał miesięcy żałoby jako wyrzeczenia.

Co czuł, kontemplując tę, która pozostawała przy życiu? Smutek pod postacią roziskrzonego klejnotu, w którym mieśniły się odblaski szczęścia tak czystego, tak intensywnego, że serce w nim omdlewało.

Rabata tysiąca piwonii

Gdy Rose w chwili przebudzenia rozglądała się dookoła, nie mogąc zrozumieć, gdzie się znajduje, dostrzegła czerwoną piwonię o nadąsanych płatkach. Coś przez nią przemknęło pośród zapachu żalu lub utraconego szczęścia. Takie wewnętrzne poruszenia mają zwyczaj drasnąć serce i ulotnić się jak sen, czasem jednak ten przeobrażony czas nadaje myślom nową przejrzystość. Właśnie czegoś takiego doświadczała Rose tego ranka, w obecności piwonii, która wystawiała złociste pęciki ze swojego wykwintnego wazonu. Przez krótką chwilę zdawało jej się, że mogłaby pozostać bez końca w tym nagim pokoju i tylko kontemplować kwiat, jak nigdy odczuwać własne istnienie. Przyjrzała się matom tatami, ścianom z papieru, oknu wychodzącemu na gałęzie zalane słońcem, zmarszczonej piwonii. Wreszcie przyjrzała się samej sobie, jak nieznajomej, którą poznała zaledwie wczoraj.

Miniony wieczór zaczął do niej powracać w przebłyskach – lotnisko, długa jazda w ciemności, przybycie na miejsce, ogród oświetlony latarniami, kobieta w kimonie klęcząca na podniesionej podłodze. Na lewo od przesuwanych drzwi, przez które weszła, gałęzie magnolii wielkokwiatowej wystające z wazonu

o ciemnych ściankach raz po raz łapały deszcz światła. Zdawałoby się, że to lśniąca woda pada na kwiaty, cienie na ścianach migotały, dookoła panował dziwny, rozedrgany mrok. Rose rozróżniała w nim matowe przegrody, płaskie kamienie prowadzące na podwyższoną podłogę, nieuchwytnie duchy; całe życie półmroku przemierzanego westchnieniami.

Japonka zaprowadziła ją do pokoju. W przyległym pomieszczeniu z dużej balii z gładkiego drewna unosiła się para. Rose wśliznęła się do gorącej wody, zachwycona surowością tej wilgotnej, cichej krypty, jej drewnianym wystrojem, czystymi liniami. Po wyjściu z kąpieli włożyła kimono z lekkiej bawełny, tak jakby wstępowała do sanktuarium. Z podobnie niewytłumaczalnym uczuciem żarliwości wsunęła się między prześcieradła. Potem wszystko minęło.

Rozległo się delikatne pukanie i drzwi przesunęły się z szelestem. Ta sama kobieta co wczoraj weszła drobnymi, dokładnymi kroczkami, by postawić pod oknem tacę. Powiedziała parę słów, wycofała się, sunąc łagodnie, uklękła, skłoniła się, zamknęła drzwi. W chwili, gdy znikwała, Rose dostrzegła drgnienie jej spuszczonej powiek i zachwyciła się urodą jej brązowego kimona, przepasanego obi haftowanym w różowe piwonie. Wspomnienie jej krystalicznego głosu o załamujących się końcach frazy dźwięczało w powietrzu niby echo gongu.

Rose obejrzała nieznanne potrawy, dzbanek herbaty, miseczkę ryżu; każdy ruch zdawał jej się profanacją. W pustej ramie okiennej, w której przesuwwały się szyba i ekran z papieru, widziała drżące, powcinane liście klonu, a dalej szerszy krajobraz.

Była tam rzeka o brzegach porośniętych dzikimi trawami, piaszczyste alejki po obu stronach kamienistego koryta, kolejne klony przemieszane z wiśniami. W leniwym nurcie pośrodku brodu stała czapla siwa. W górze sunęły obłoki. Uderzyła ją moc płynącej wody. Gdzie ja jestem? – pomyślała, i choć wiedziała, że miasto, do którego przyjechała, to Kioto, odpowiedź wymykała się niczym cień.

Znowu rozległo się pukanie. Tak? – odpowiedziała, drzwi się otworzyły. Ponownie ujrzała pas w piwonie. Tym razem kłęcząca kobieta spytała: *Rose san get ready?* – i wskazała na drzwi do łazienki. Rose pokiwała głową. Co ja tu właściwie robię? – pomyślała, i choć wiedziała, że przyjechała wysłuchać testamentu ojca, odpowiedź wciąż się wymykała. W przestronnej pustej kaplicy łazienki biała piwonia o płatkach lekko umoczonych w karminowym tuszu suszyła się obok lustra jak świeżo namalowany obraz. Poranne słońce wlewające się przez otwór z bambusową kratą rzucało na ściany plamki światła, tak że przez chwilę, zalana witrażowymi cętkami, poczuła się jak w katedrze. Ubrała się, wyszła na korytarz, skręciła w prawo, zawróciła, gdy dotarła do zamkniętych drzwi, podążyła za meandrami podłogi i papieru. Za którymś zakretem drewniane przegrody zrobiły się ciemne, kontrastujące z przesuwными panelami, a za kolejnym znalazła się w dużym pomieszczeniu, pośrodku którego rósł klon. Jego korzenie zagłębiały się w aksamitnie pofałdowany mech; paproć posadzona przy kamiennej latarni głaskała pień; dookoła biegła przeszklona galeria otwarta ku niebu. W kolejnych odpryskach rozbitego na kawałki świata Rose dostrzegła drewnianą podłogę, niskie siedziska, stoły z laki, a na prawo, w dużym glinianym wazonie kompozycję gałęzi usianych nieznanymi liśćmi, drżącymi

i lekkimi jak wróżki; drzewo jednak rozdzierało przestrzeń szczeliną, w której tonęły jej zmysły, Rose czuła, że ją do siebie przyciąga, że przywabia jej oddech, że mogłoby uczynić z jej ciała krzew o szemrzających gałęziach. Po chwili wyrwała się spod tego uroku, przeszła na drugą stronę wewnętrznego ogrodu, gdzie przestronne okna wychodziły na rzekę, i otworzyła jeden z paneli, który przesunął się bezgłośnie na drewnianych szynach. Wzdłuż brzegów obsadzonych wiśniami, niczym płynne uderzenia czasoprzestrzeni, sunęli poranni biegacze, a Rose zapragnęła zanurzyć się w ich pędzie bez przeszłości ani jutra, bez przywiązań ani historii; zapragnęła stać się tylko ruchomym punktem wpisanym w nurt pór roku i gór, biegnącym przez miasta aż po oceany. Spojrzała w dal. Dom jej ojca został zbudowany na niewielkim wzniesieniu, ponad piaszczystą alejką widoczną między gałęziami drzew. Na drugim brzegu ciągnęła się ta sama piaszczysta alejka, te same wiśnie, te same klony, a jeszcze dalej, powyżej poziomu rzeki: ulica, inne domy – miasto. Wreszcie łagodne wzgórza zamykające horyzont.

Wróciła do sanktuarium drzewa. Czekala na nią Japonka.

– *My name Sayoko* – odezwała się.

Rose kiwnęła głową.

– *Rose san go for a stroll?* – spytała Sayoko.

A następnie z osobliwym akcentem, czerwieniąc się nieco:

– Spacer?

Znowu te końce frazy niczym echo załamującej się nuty, powieki lśniące perłowo jak muszle.

Rose się zawahała.

– *The driver outside* – powiedziała Sayoko. – Wait for you.

– *Oh* – odparła Rose – *all right*.

Poczuła się popędzana, a drzewo za plecami Sayoko, dziwne i uwodzicielskie, znowu zaczęło ją do siebie przyzywać.

– *I forgot something* – rzuciła i uciekła.

W łazience stanęła ponownie wobec białej piwonii o płatkach polakowanych krwią, o koronie ze śniegu. Hyoten – wyszeptwała. Postąpiła jeszcze chwilę, po czym wzięła swój płócienny kapelusz i opuściła kaplicę ciszy i wody, poszła do przedsiönka. W świetle dziennym kwiaty magnolii wywijają się jak motyle. Jak one to robią? – pomyślała z irytacją. Przed domem ten sam kierowca co wczoraj, w czarnym garniturze i białej czapce, skłonił się, gdy wyszła. Z szacunkiem otworzył przed nią drzwi i zamknął delikatnie. Przyjrzała się w lusterku szparkom jego oczu, cienkim kreskom czarnego tuszu mrugającym bez odślaniania tęczówek i o dziwo spodobała jej się ta otchłań spojżenia. Wkrótce uśmiechnął się do niej dziecięcym uśmiechem, który rozświetlił jego woskową twarz.

Przejechali przez most na drugi brzeg i skierowali się ku wzniesieniom. Odkrywała miasto pośród chaosu betonu, linii elektrycznych i neonowych szyldów. Tu i ówdzie z tego morza brzydoty wyłaniała się sylwetka świątyni. Wzgórza się przybliżały, okolica przechodziła w dzielnicę mieszkaniową, aż wreszcie znaleźli się nad kanałem obsadzonym wiśniami. Wysiedli z samochodu u dołu ulicy, wzdłuż której ciągnęły się sklepiki odwiedzane przez turystów. U szczytu wzniesienia przeszli przez drewnianą bramę. *Silver Pavilion* – powiedział kierowca. Zaskoczyła ją jego ulotna obecność, tak jakby opuszczał samego siebie i wyciągał się ku niej dla jej wyłącznej satysfakcji. Uśmiechnęła się do niego, a on skinął lekko głową.

Znaleźli się w zapomnianym świecie drewnianych budynków pokrytych szarą dachówką. Z przodu, na mszystych rabatach rosły dziwne, wysokie sosny; kamienne alejki wiły się między pasami szarego piasku; wyrysowano na nim grabiami równoległe linie i posadzono kilka azalii. Przeszli przez drzwi prowadzące na główny teren ogrodów. Po prawej stronie, na brzegu stawu stary pawilon zrywał się do lotu na swoich wywiniętych dachach, a Rose odniosła niepokojące wrażenie, jakby oddychał, jakby w tych ponadczasowych przegrodach i galeriach, w tych otworach wypełnionych białym papierem, które rzucały na wodę długie, młeczne refleksy, schroniło się jakieś organiczne życie. Na wprost wznosił się duży kopiec z piasku o ściętym wierzchołku, a na lewo ciągnęła się rozległa płaszczyna tego samego piasku, zagrabiona w równoległe bruzdy i wygięta na końcu jak fala na brzegu morza. Gdy patrzyło się na całość, widziało się najpierw ten mineralny przypływ, a następnie podobiznę góry o spłaszczonym szczycie i pawilon o skrzydlatym zadaszaniu; dalej stawy o wodach z żywego srebra, sosny przycięte na kształt wzlatujących ptaków, kilka kolejnych azalii; wszędzie, otoczone równym, świetlistym mchem, osadzone w brzegach stawów, tkwiły odwieczne kamienie. Wreszcie ogród wspinał się do esplanady, na której gromadził się tłum zwiedzających. Między nimi a Rose piętrzyły się klony spływające po zboczu lawinami koronkowych liści.

Czuła się ogłuszona pięknem, w otoczeniu kamieni, piasku i drewna wszystko wprawiało ją w odurzenie, wszystko oddziaływało intensywnie; nie przeżyję tego ponownie – pomyślała z mieszaniną znużenia i trwogi. Ale w następnej chwili: Coś tu jest. Jej serce zaczęło bić mocniej, poszukała wzrokiem miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Jak w dzieciństwie. Oparła się

plecami o drewnianą galerię głównego budynku; jej spojrzenie zaczęło się na jednej z azalii; trwoga i upojenie nasączone fioletowymi płatkami stopiły się w nowe uczucie, a jej przyszło na myśl, że znalazła się w samym sercu sanktuarium czystej, lodowatej wody.

Podążyli trasą zwiedzania, zatrzymali się na moment na drewnianym mostku rozpiętym nad szarymi wodami, który prowadził ku klonom i wyższym partiom ogrodu. Wokół stawów rosły kolejne dziwne wysokie sosny. Rose podniosła wzrok i uderzyła w nią rozgałęziona błyskawica igieł na tle nieba; ciemne pnie posyłały w te roślinne pioruny całą potęgę ziemi; poczuła się wciągana w nurt chmur i mchu. Kierowca szedł miarowym krokiem, od czasu do czasu się odwracał, czekał na nią bez zniecierpliwienia, ruszał na dany przez nią znak. Jego spokojna postawa działała na Rose kojąco, przywracała światu nieco realności, rozpraszanej wśród drzew mocą ogrodu. Ścieżka obsadzona wysokimi zielonymi bambusami doprowadziła ich do kamiennych schodów; Rose mogłaby dotknąć palcem rosnącego po bokach aksamitnego mchu, w którym zapuszczały korzenie klony. Z każdym stopniem gałęzie malowały na nowo obraz doskonałości i ta wizualna choreografia ją urzekła, ale też irytowała – a jednak ta irytacja, jak stwierdziła z zaskoczeniem, sprawiała jej przyjemność. W końcu wyszli na niewielką esplanadę: w dole widać było pawilon, drewniane budynki, dachy pokryte szarą dachówką, rzeźby z piasku; dalej Kioto, a jeszcze dalej kolejne wzgórza. *We are east* – powiedział kierowca, a potem, wskazując na horyzont: *West mountains*.

Starła się objąć miasto wzrokiem. Całą sobą skupiła się na obecności gór, zamykających Kioto pod kątami prostymi od

wschodu, północy i zachodu. W rzeczywistości były to większe wzgórza, których rzeźba wzbudzała w patrzącym wrażenie wysokości. Spływały ku zabudowaniom zalesionymi zboczami, zielononiebieskimi w świetle poranka. Miasto leżące naprzeciwko niej, za niewielkim zielonym wzniesieniem, zdawało się brzydkie, zabetonowane. Spojrzenie Rose wróciło do ogrodów widocznych w dole, a one zaskoczyły ją swoją *precyzją* – stalową oczywistością; czystością wyostrzoną bólem; zdolnością wskrzeszania uczuć z dzieciństwa. Jak w dawnych snach, miała się w czarnej, lodowatej wodzie, tylko teraz w biały dzień, w bezmiarze drzew, w płatkach białej piwonii splamionych krwią. Oparła się łokciami o bambusową balustradę, przyjrzała się sąsiedniemu wzgórz, czegoś szukała na nim. Kobieta oparta obok uśmiechnęła się.

– Jest pani Francuzką? – spytała z angielskim akcentem.

Rose obróciła się do niej, spostrzegła pomarszczoną twarz, siwe włosy, zakiet o pięknej fakturze.

Nie czekając na odpowiedź, kobieta podjęła:

– Cudownie, prawda?

Rose przytaknęła.

– To efekt całych wieków oddania i wyrzeczeń.

Angielka zaśmiała się z własnych słów.

– Tyle cierpienia dla jednego ogrodu – rzekła beztrząskko lekkim tonem.

Wpatrywała się jednak intensywnie w Rose.

– Chociaż – ciągnęła, skoro Rose wciąż się nie odzywała – pani może woli ogrody angielskie.

Zaśmiała się jeszcze raz, pogładziła niedbale balustradę.

– Nie – odparła Rose – ale to miejsce robi na mnie wstrząsające wrażenie.

Miała ochotę opowiedzieć o lodowatej wodzie, zawahała się, zrezygnowała.

– Przyjechałam wczoraj w nocy – rzekła ostatecznie.

– To pani pierwsza wizyta w Kioto?

– To moja pierwsza wizyta w Japonii.

– Japonia to kraj, w którym wiele się cierpi, ale się na to nie zważa – stwierdziła Angielka. – Żeby wynagrodzić sobie tę obojętność na nieszczęście, uprawia się ogrody, do których bogowie przychodzą napić się herbaty.

To rozdrażniło Rose.

– Nie sądzę – odparła – nic nie może wynagrodzić cierpienia.

– Tak pani uważa? – spytała Angielka.

– Życie boli – powiedziała Rose. – Nie należy spodziewać się niczego w zamian

Angielka odwróciła głowę, pogрузzyła się w kontemplacji pawilonu.

– Jeśli nie jesteśmy gotowi cierpieć – rzekła – nie jesteśmy gotowi żyć.

Odsunęła się od balustrady, uśmiechnęła się do Rose.

– Miłego pobytu – powiedziała.

Rose obróciła się do kierowcy. Śledził wzrokiem Angielkę, której sylwetka znikwała pod konarami klonów, a na jego twarzy malowała się wrogość pomieszana z lękiem. Ruszyła drogą w dół. Gdy stanęła na ostatnim stopniu schodów z czarnego kamienia, które prowadziły do stawu przed pawilonem, zatrzymała się, obezwładniona myślą, że nikt na nią nigdzie nie czeka. Przyjechała wysłuchać testamentu ojca, którego nie znała; całe jej życie było pochodem duchów, które nakazywały jej gdzieś iść i nie dawały nic w zamian; ciągle szła ku pustce

i lodowatej wodzie. Przypomniała sobie pewne popołudnie w ogrodzie babci, biel lilaków, zioła na skraju gospodarstwa. Wróciło do niej wspomnienie słów Angielki, a wraz z nim uczucie buntu. Nigdy więcej – powiedziała na głos. Potem przyjrzała się szarej wodzie, pawilonowi, rzeźbom z piasku, klonom, rozległej przestrzeni dzieciństwa i wieczności ogrodu, i zalał ją smutek, w którym mieniły się odblaski czystego szczęścia.